

Sen o znaczeniu snów



BOŻENA KEFF

Sen o znaczeniu snów

Cezar i Wercyngetoryks

Cezar pokonał Wercyngetoryksa i przyprowadził go z Galii na łańcuchu. Podobno Wercyngetoryks jest dogłębnie piękny, a jego płeć nie jest jednolita.

Na tylnym dziedzińcu domu Cezara ktoś mówi, że Wercyngetoryks jest tam, w łazience.

Łazienka to raczej rodzaj akwarium z podgrzewaną sadzawką. Na marmurowych schodkach prowadzących na dno stoi Wercyngetoryks. Skórę ma gładką i opalizującą jak tafta, kobiece krągłe piersi, czarne, lekko kręcone włosy opadają na silne, szerokie plecy. Jego postać od talii w dół faluje pod wodą i nie wiadomo, czy Wercyngetoryks od dołu jest mężczyzną, kobietą czy syreną.

Do łazienki-akwarium wpływa Cezar w postaci tłustego, okrągłego karpia; lubieżnymi pętlami opływa talię Wercyngetoryksa — a ona odchyła się do tyłu, sztywniejąc z obrzydzenia. Cezar, urażony do żywego, żyletką nacina skórę Wercyngetoryksa nad biodrem i patrzy, jak czerwona strużka rozmazywana przez wodę spływa po białej, opalizującej skórze.

— Nie wydobędziesz ze mnie ani jednej mojej płci — mówi Wercyngetoryks —

1969¹

Nocny pociąg

Siedzę w więzieniu dla kobiet. To duży szary budynek o dwóch skrzydłach. Noc. Na gzymsie, nad jednym z zakratowanych okien prawego skrzydła, siedzą dwa ludzkie ptaki: mężczyzna i jego synek, bardzo podobny do ojca. Szarzy i nastroszeni jak puchacze pilnują okna celi, w której siedzi kobieta. Kiedyś zostanie żoną tego mężczyzny i urodzi tego chłopca. Czuwają, żeby nie zdarzyło się nic nieprzewidzianego.

Od środka więzienie jest szare, ale to miękka szarość — szmatek, fartuchów, irchowych ścierek. Moja cela, która leży w lewym skrzydle, przypomina raczej przedział kolejowy z zasuwanymi przeszklonymi drzwiami. W środku są leżanki z zielonymi obiciami.

Staję przy mojej, a naprzeciwko, na swojej, siedzi Irena: ostre rysy i ciepły koloryt. Z tymi jasnymi włosami, od których idzie złoty, bardzo intymny poblask i które zawsze zasłaniają jej oczy, więc kiedy patrzy, zadziera głowę. Zadziera głowę — a ja się pochylam i po chwili całujemy się. Zdejmujemy ubrania i kochamy się: kiedy rozchyłam powieki, wszędzie widzę złotoróżowy poblask, wszędzie go czuję. W pewnym momencie nasz przedział — czy nasz pociąg — rusza. Jak wypełniona światłem tuba, lekko kołysząc sunie przez noc, nabiera prędkości —

— swoboda — swoboda —

¹1969 — Wtedy to śnił mi się sen, będący pierwowzorem tekstu. [przypis autorski]

— i na południe na południe —

maj 1985

Pokojówka Kafki

Jestem w pokoju o nieskazitelnie białych ścianach. Stoję przy wielkim ciemnym biurku, odziana w biały fartuszek pokojówki; z fajansowej maselniczki nabieram nożem masło i smaruję kawałki pergaminowego papieru albo zwykłych gazet. Posmarowane układam na tacce.

To kanapki dla gości Franza Kafki: są w pokoju obok, zza wysokich białych drzwi cały czas dobiega pogłos rozmów, śmiechy, czasami dźwięki pianina.

W pewnej chwili zjawia się Kafka: ciemny i płonący, pański i blady. Jego obecność magnetyzuje mnie i wprawia w złość. Kiedy idzie w moją stronę, zwieram się, jakbym była murem obronnym.

Precz, precz — powtarzam w myślach — precz.

Kafka przystaje przy mnie, ogląda kanapki, patrzy jak smaruję następne. Och, nienawidzę tej fali *braterskiego* despotyzmu, którą na mnie wypromieniowuje. Nie cierpię tego spokojnego wtajemniczenia, z którego wyrasta jego tryumfujący smutek.

— Patrz — mówi spokojnie, wyjmując mi z ręki nóż i kawałek pergaminu. — To nie tak. To się robi w *ten* sposób.

I odwraca kartkę i smaruje ją z przeciwnej strony. Idiota, najprawdziwszy idiota! Pokazuje mi tu jakieś swoje *ortodoksyjne* sposoby, narzuca mi je! Poucza mnie jak kuchcę, a ja nie zgadzam się, nie i nie!

Chcę mu powiedzieć coś takiego, żeby go rozniosło, żeby go przekreśliło.

— Jesteś ohydny — mówię — masz źrenice jak łebki szpilek. Sam zdychaj w swojej szufladzie, mnie tam nie zamkniesz!

Wiem, że wypadło fatalnie, ale jak niby miało wypaść?

Polykam lzy nad kanapkami. Kafka siedzi na krześle: śniady, pański, smutny. Za nim biała ściana, a wysoko, w górze, niewielkie półokrągłe okienko, przez które wpada słońce.

1970

Tajemnica bierności

Ruchliwym wczesnym popołudniem idę Nowym Światem. Spostrzegam nieduży pałacyk, trochę cofnięty w stosunku do innych budynków na ulicy. Wchodzę do środka, zamykam za sobą wysokie ciężkie drzwi. Jestem w poważnym, wyłożonym ciemną boazerią hallu, wszędzie palą się przyćmione gazowe światła. To Anglia. Jest wieczór. Koniec XIX stulecia.

Schodami przykrytymi dywanem wchodzę na pierwsze piętro, a potem idę korytarzem, długim jak aleja w parku, w którym przyćmione światło długiego szeregu mlecznych kinkietów zaznacza kolejne drzwi.

Jedne są uchylone. Zaglądam — i najpierw czuję jakby falę chłodu. Może to te zielonkawe, koloru wody morskiej, obicia ścian i światło spod niebieskiego klosza lampy? Na łóżku porusza się złączona para. Właściwie porusza się jedynie chudy mężczyzna, który pojękując wbija się w kobietę tak mocno, że aż ją przesuwa po śliskiej, atlasowej pościeli. Widzę jego tyłek i biodra pracujące energicznie — a ona leży jakoś dziwacznie nieruchomo, jakby ten bezwład był spoza tego, co się tutaj z nią dzieje. Mężczyzna skończył — zamarł, uniósł się trochę znad jej ciała i szarpnął nią w złości, a ona poddała się jakby była zszyta ze szmatek.

Miała anonimową, spotykaną w tysiącach wcieleń pospolitą twarz, popielate blond włosy, raczej wąskie usta i szerokie policzki. Było w tej twarzy coś męczącego, bez odpowiedzi.

Bierność, dogłębna bierność. Jakby sama przebywała gdzieś poniżej wszystkiego, uchylona, zabezpieczona, a to, co do niej dociera, co czuje ciało leżące na łóżku — to tajemnica.

Można tu dostać narkotyki, który wprowadza w stan bierności. Ale sam narkotyk nie wystarcza. Trzeba mieć też talent i specjalny *tropizm* — ona ma.

Tymczasem mężczyzna, już ubrany, wyciągnął jedwabną chustę i okręcił wokół szyi dziewczyny. Dusi ją.

Dusi — a ja patrzę na to z jakimś płytkim, półsennym oburzeniem. Wiem, że należałoby tam wpaść, narobić alarmu, wołać o pomoc, tak, zdają sobie sprawę. Ale chcę tylko stać i patrzeć. Patrzeć i zobaczyć.

Im mocniej on zaciska na jej szyi chustkę, tym głębiej ona obsuwa się w głąb siebie. Gdzieś, gdzie jest poza wszelkim zasięgiem.

Chudy mężczyzna uznał, że rzecz jest skończona i nasunął na twarz i ciało dziewczyny prześcieradło. Po chwili minął się w drzwiach pokoju z wysokim gentelmanem w jasnym garniturze, do którego powiedział uprzejmie:

— Please, she is not jealous.

Na dole, w eleganckiej kawiarni siedzę przy stoliku obok mojej przyjaciółki K., ubranej w kremową sukienkę — przy jej zgrabnej obfitości i kasztanowatych włosach nadaje jej wygląd dostojny i rozpustny. To tutaj dobrano dla niej tę sukienkę.

Przed nami w filiżankach stoi kawa zaprawiona narkotykiem. Nie mówimy jednak o tym ani słowa. K. pije ostrożnie, małymi łydkami, a ja toczę ze sobą rozpaczliwą walkę. Boję się narkotyku — i strasznie mnie pociąga.

K. kończy i patrzy na mnie spojrzeniem wtajemniczonej wyższości: nie cierpię tego.

Na wolne krzesło przy naszym stoliku osuwa się, falistym ruchem poruszanego przez wodę wodorostu, uduszona niedawno blondynka. Obie patrzymy na nią jak zahipnotyzowane, ale ona niczego nie widzi, na nic nie zwraca uwagi — wypija duszkiem swoją kawę, opada na oparcie krzesła i patrząc w sufit czeka na powrót stanu, z którego się wynurzyła. Chce zawrócić — i niczego więcej nie pragnie.

Podchodzi kelner i pochylając się, pyta mnie dyskretnie:

— A może podać pani mężczyznę, który to wypił?

Mignęła mi w głowie pewna twarz, pewna postać:

— Czy może być ten?

— Ależ oczywiście — odpowiada, uśmiechając się. — Oczywiście.

Głęboko zanurzony w fotelu pół siedzi, pół leży ten właśnie młody mężczyzna, o którym pomyślałam. Młody, dwudziestokilkuletni, dużo młodszy ode mnie — o gęstych blond włosach i rysach jednocześnie ostrych i delikatnych. Piękny. Zawinięty w prześcieradło jak w togę. Odwijam prześcieradło — o, tak, piękny.

Chcę go ściągnąć z fotela na dywan, żeby mieć do niego lepszy dostęp, ale na podłodze leżą jakieś papiery. To jego notatki, wiersze, opowiadania: *dzikość tych miejsc mnie przenika nawet niebo w nocy jest tu żółte i gorące jak oczy tygrysa*.

Są też recenzje o nim: *To istny syn Matki Literatury*.

Pochyłam się nad nim i dociera do mnie jego stan, atmosfera wyobrażeń z tego ostatniego punktu, do jakiego udało mu się dojść w rojeniach sprzed godziny czy dwóch: *twarda gorączka intymnych dotknięć złączeń bez osób bez twarzy bez imion tytko gorący bezruch*.

Nie, nie do użycia. Nie jestem „twardą gorączką”, wilgocią i dotykiem. O, nie. *Ja to ja*.

Wracam do kawiarni i dopadam stolika, na którym nadal stoją nasze filiżanki. Teraz wypiję.

Filiżanka K. i uduszonej blondynki są puste. W mojej jest tylko resztką zwykłej herbaty z cytryną.

z kwietnia 1986

Sen o znaczeniu snów

Obraz:

Pas fioletowego nieba podszyty resztką światła słonecznego, między końcem dnia a początkiem nocy. Fiolet granatowieje, światło zupełnie gaśnie.

Głos (bez płci, bez właściwości):

— Ten obraz we śnie oznacza zbliżającą się samotność.

Obraz:

Dolina jak przed tysiącami lat, zarośnięta wysokimi krzakami i trawami. Gdzie to? Widać dym, ktoś rozpałił ognisko.

Głos (bez płci, bez właściwości):

— Ten obraz we śnie oznacza zatraconą pamięć.

Obraz:

Moja przyjaciółka K. siedzi na krześle, milczy, w jakiś męczący sposób nie mogę uchwycić wyrazu jej twarzy.

Głos (— czekam, ale się nie pojawia —)

Tancerin

Cała sala, wysoka jak hala dworca, jest zatopiona w niebieskim zadymionym półmroku. Stoją tu dziesiątki stolików nakrytych białymi obrusami; publiczność ogląda, pije, pali, rozmawia. Od sceny pada przenikające wszędzie niebieskie światło.

Na widowni przeważają mężczyźni; rozmawia się przyciszonymi głosami, znajomi przysiadają się do siebie, co jakiś czas ktoś wchodzi, ktoś wychodzi popychając obrotowe drzwi z kryształowymi szybami, które potem obracając się siłą bezwładu nawijają smugi niebieskiego światła.

Postać na scenie jest niewielka i nie od razu daje się zauważyć. Ale to ona jest tu ośrodkiem, tańczy co wieczór całą noc, prawie do świtu. To jej lokal i publiczność przychodzi tu dla niej.

Jakiś facet w kapeluszu stoi przed estradą i wyrzucając ekstatycznie w górę ręce, powtarza: Tancerin! Tancerin!

Prawie jej nie widać: drobna blondynka w sukni z surowego jedwabiu; wszelkie formy ruchu są dla niej naturalne i zmienia jedną na drugą bez przejścia, z zaskoczenia; przed chwilą była igłą przebijającą materiał, potem kroplami wody wyciekającymi z kranu, teraz tańczy to, co jest na zewnątrz, na ulicy: neon odbity w kałuży.

Publiczność zamiera w zachwycie; rusza szmer, po chwili biją wodospady braw. Tancerka pokazuje, że kąpie się w tych oklaskach, oddycha nimi i pije je — brawa rosną i wtedy ona tańczy pewnego gościa, który przez nieuwagę strząsnął popiół z cygara do kieliszka z koniakiem. Rzeczywiście, jest taki gość — wychwytuje go niebieski reflektor. Tancerin śle mu całusy.

Nad ranem tancerka wraca do swojego apartamentu. Wszędzie — w korytarzu, w pokojach, w łazience pałą się światła. Dużo świateł i dużo kwiatów.

W sypialni pokojówka pościeliła łóżko na dwie osoby. Tancerka przysiadła na miękkim taborecie, powoli się rozbiera, chwilami nieruchomieje, nasłuchuje. Już wie, że kochanek nie przyjdzie. Nie o niego zresztą chodzi, chodzi o ruch, o to, że jest żywy i mógłby się poruszać — w niej, z nią, na zewnątrz; choreografia byłaby wówczas ustalona, a teraz w samotności zaczyna się rwać, zanika.

Wszystko zamiera, ona czuje to zamieranie za plecami; gdziekolwiek by się nie obróciła, zawsze ma to z tyłu. Nie można zasnąć, nie można zamknąć oczu.

Jakiś głos (bez źródła, bez płci, bez właściwości) mówi, jakby podawał informację o godzinie odjazdu pociągu:

— Morbidus — Morbidus —

23 grudnia 1984

Inne możliwości

(*Nocuje u mnie Iwona: wysoka bardzo jasna blondynka. Odstąpiłam jej swój pokój, a sama położyłam się spać w mniejszym. W nocy budzę się nagle i siadam na łóżku*)

— najpierw przestraszona, po chwili spod tego lęku wypełza poczucie zupełnej samotności. Jakbym tkwiła w kosmicznej pustce sama poza światem i jakoś oddzielona od samej siebie. W panice skóra się na mnie ściąga.

To nie jest miejsce, w którym zazwyczaj śpię, nie moje miejsce. Wstaję, mam zamiar szukać siebie tam, gdzie powinnam być —

— przed oczami przepływa mi obraz mojego pokoju i mnie samej, śpiącej na materacu leżącym na podłodze, w zatoczce, którą tworzą półka z książkami i ściana —

Pochylam się; nad moim śpiącym ciałem ciemność wydaje się bardziej miękka, mniej napięta niż w innych miejscach pokoju. W jej zasięgu znajduje się to, czego potrzebuję: bezpieczeństwo i dostęp do świata. Chcę się położyć jak najbliżej siebie, wsunąć pod kołdrę i poczuć tę spokojną, zanurzoną w sobie obecność, z którą już się zaczynam przenikać.

A jeśli, posuwając się dalej, stopimy się?

Tego nie chcę, skąd, niech zostanie jakaś linia graniczna. Nagle jestem przestraszona — ona może mnie wchłonąć, a ja przecież chcę tylko poleżeć, pobyc obok niej —

Stoję pod drzwiami mojego pokoju. Widzę przez nie, że na moim materacu leży długa postać otulona kołdrą, na poduszce proste blond włosy. To nie ja. To Iwona. Ach — tak?

Splywam się w pojedynczą osobę. Splywam się w siebie. Ukonkretniona tak nagle, czuję się przez chwilę jakoś ubogo i ciasno, jakbym przeszła od ciekawszej, wyższej, do bardziej prostackiej formy istnienia. Jakby coś przepadło. Jakbym znalazła i zaraz utraciła sekretny dopływ —

Wracam i znowu się kładę. Jestem już spokojna. Kiedy zasypiam, widzę jak cicho domyka się szpara w drzwiach, zza których padało światło innych możliwości.

grudzień 1985

Odwieczne śniegi

Światło przygasa i rozbłyska w żółtawych nikłych wybuchach — jakby wyświetlano film ze starej taśmy filmowej. W tych rozbłyskach, na granicy widoczności można dostrzec klomb i biegnącą obok aleję, którą ciągnie grupa ludzi idących za młodą kobietą. Kobieta ma jakieś powiązanie z tajemnicą śmierci pewnego mężczyzny i jego dwóch córek. Zginęli lub zostali zamordowani — a może nawet między nimi samymi coś zaszło?

Klomb leży na tyłach małej stacyjki kolejowej — nie widać na niej nazwy ani tablic. Od strony peronu nadchodzi jeszcze kilka osób. Idę na samym końcu i jako jedna z ostatnich wchodzę w aleję —

— panuje tu stale zapadający wieczór, ani się nie rozjaśnia, ani nie ciemnieje, wszędzie jest coraz więcej śniegu, wszędzie leży śnieg —

Wśród tych śniegów było troje ludzi.

Śniegi i śniegi. Lata, wieki, tysiąclecia śniegów. Przybywające, przesuwane się. Trwające. Śniegi oddzielające od wszystkiego.

W tych śniegach zginął ojciec i jedna z córek. Nikt nikogo nie zabił, nic złego między nimi się nie wydarzyło. Po prostu zginęli w odwiecznych śniegach.

Ale druga córka nie zginęła. Szła przed siebie i szła — to jej cień widać na tej białej nie kończącej się równinie — aż doszła do strefy, gdzie żyją zwierzęta.

Te, które tam żyją, mają ogień: tam właśnie widać cienie zwierząt niosących pochodnie. Przesuwa się zarys niedźwiedzia, foki i psa husky, a z drugiej strony zbliża się ludzki cień. Spotykają się i już potem cały czas idą razem — z przodu cienie zwierząt, za nimi ludzki, wszystkie w pelgającym widmie ognia, które wygląda jak zetlęta plamka, a jednak to cień grzejącego, żywego ognia w bezkresnych śniegach.

Prawdopodobnie ta kobieta, która prowadzi ludzi aleją, ma wiele wspólnego z drugą córką, która przeżyła wśród zwierząt.

Patrzę na śniegi, mam je na poziomie oczu, a w ciele czuję bezwładny ogrom ich przesuwaną się masę.

Pojawiają się z dwóch stron gasnącego i rozbłyskującego ekranu, jak dwa białe jęzory, łączą się i osuwają w dół, poza pole widzenia.

Znowu pojawiają się nowe, łączą i znikają — i tak ciągle i ciągle, osuwająca się wieczność —

— która przekracza możliwości mojego smutku —

— przekracza —

1 września 1992

Szara wieczność

Ktoś ogląda duże, cienkie, szaro-brązowe zeszyty — o, tak, koniecznie trzeba się w takie zaopatrzyć. Tylko taki typ literatury, jaki w nich drukują, można wykorzystać w szarej wieczności.

Szara wieczność jest rodzajem uwięzienia, są tam nie kończące się szare płaszczyzny w szarym świetle, które nie daje cienia; pustka. Nie ma tam życia, tam się jakoś trwa. Oblęd chwytam na myśl o tym, jak tam przetrwać, w jaki sposób i czym zapełnić każdą kolejną chwilę, trwając w izolacji, w samotności, w pustce, bez zajęć, bez rozmów, bez dotyku —

Ktoś, kogo dostrzegam na tej szarej równinie, kładzie się na plecach i otwiera szaro-brązowy zeszyt. Czyta pojedyncze zdania i z coraz większym trudem — ale wreszcie — odpływa w stronę, w którą go pociągnęły.

Statek, bucząc, wyłonił się z mgły.

Pokrój bakłażana, dodaj pomidorów, oliwy, majeranku, oregano i soli.

Tylko przez takie zdania można wyrwać uwagę z szarej pustki, przez nie można się przedrzeć z powrotem do wspomnień, uczuć, obrazów.

Nad brzegami rzek Babilonu, siedząc, płakaliśmy — czyta ten człowiek,

— i buczenie statku — i starte w rękach suche listki oregano —

Aż szara pustka znowu wszystko wchłonie —

Bo jednak nie można bez końca używać zeszytów. W jakimś momencie fikcja przestaje działać. Jeśli się chce stąd wydostać, można popełnić samobójstwo — jak on właśnie robi: leżąc na plecach, wbija sobie sztylet w splot słoneczny. Stoję tuż nad nim i patrzę: nie ma krwi. Ciało zalewa ciemny cień.

I dopiero wtedy nastaje nicość.

1994

Namiot oczekiwanej miłości

Przez swoją nieopanowaną żarłoczność moja suka Melania dostała się na wyspę za miastem i nie może wrócić.

Błądzą po mieście, usiłując znaleźć jakieś połączenie z wyspą. Miasto leży na wzgórzach. Przy szerokich, wysadzanych drzewami ulicach, biegnących w górę i w dół, stoją stare, ale wewnątrz unowocześnione domy w ciepłych pastelowych kolorach. Światło ma tu wszędzie obcy, jasno-cierpki blask i pada ukośnie. Nigdzie nie widzę połączenia z wyspą, choć musi być. Przed jakąś bramą zaczepia mnie trzynastoletni chłopiec: on mi pokaże, może mnie nawet zaprowadzić. Ledwo to powiedział, kiedy skądś, z niewidocznego wnętrza mieszkania, wołają go rodzice.

W pewnym momencie, stojąc u szczytu stromej ulicy, dostrzegam wyspę.

I wreszcie na niej jestem.

Cała jest podmokła. Krzewy, trawa, trzciny — wszystko gnije. Spod łachy piasku wystaje lepek niedużego zwierzęcia — pochylam się i widzę, że łacha poruszając się chłono-kopulującym ruchem wchłania i trawi zwierzę, w którego oczach eksploduje przerażenie i ból. Po chwili ten obłęd zaciąga się pustką. Cofam się ze zgrozą i wdeptuję w rów z wodą, która ma w sobie coś oporno-szklistego, jakby miała za chwilę skrzepnąć. Wyłażę z rowu, odchodzę szybko po błotnistej, mlaskającej pod nogami ziemi.

Wszędzie tu panuje krwiożerczość i bezwład. Pożeranie sprzężone z agresywnym płodzeniem na oślep, do najpoczwamijszych form. Brzydzi mnie to, ale nie boję się. To nie moja wyspa. Jestem tu obca.

Nad samym brzegiem natykam się na zielony baldachim; to znaczy: na podmokłej ziemi leżą deski przykryte grubym dywanem, na dywanie miękkie łoża z atlasowymi poduszkami, obok srebrna lampka w kształcie łodzi, w której pali się płomyk. Nad tym wszystkim rozpięty jedwabny, zielony baldachim, falujący drobno od powiewów wiatru.

O jeden z drażków, na których jest rozpięty baldachim, opiera się młody mężczyzna. Piękny. Ma ciemne oczy, w nich jakąś pierwotną ufność i przyczajoną ciekawość, w całej sylwetce lekką, sprężoną energię. To on to postawił. To jego namiot oczekiwanej miłości. Nie widzi mnie. Płyne obok obrazów z własnych marzeń: przed jego oczyma przesuwiają się zarysy kobiecych ciał, zbliżenia twarzy, czasem spojrzenia. Żadnego obrazu nie wyróżnia, żadnego nie zatrzymuje, wszystkie przepływają.

Och, ty durniu, myślę, mijając go, ty kretynie —

Znajduję wreszcie Melanię, z daleka dojrzałam jej białą, czarno nakrapianą sylwetkę. Biedna, ślania się już z głodu, a może odurzył ją rozkład wyspy. Muszę ją wziąć na ręce, chociaż jest naprawdę spora. Wracamy do miasta.

A z miasta nadal nie widać wyspy.

1987

Benjamin i Zbyszek

Wbiegam po schodach i wchodzę do mieszkania moich przyjaciół, Benjamin i Zbyszek. Trochę jestem zjeżona, bo oczekuję zwykłych u Zbyszka ataków złośliwości. Nie znoszę ich, ale lubię podszytą osłupieniem fascynację, jaką wywołują.

Jednak Zbyszek w ogóle na mnie nie zważa, tkwi w fotelu, jakby go tam wcisnęła jakaś bezwzględna moc. Trwa w stanie oszołomienia i zupełnej niemoty. Zbyszek jest w ciąży.

W ciąży. Nagle olśniewa mnie myśl, że w ten sposób zyskał *od środka* dostęp do poznania całej odmienności naraz. Teraz ma to już w sobie i *wie*, nawet jeśli nie chce. Jest odmienny, został wtajemniczony.

Przyklękam przy fotelu — och, strasznie chcę mieć dostęp do jego wyróżnienia. Przecież on musi mieć w ręku wszystkie nici —

Na razie czuję jednak tylko idący od niego opar smutku, zupełnego pogubienia i niemożności wyrażenia czegokolwiek. Trudno, poczekam, aż będzie mógł *to* wypowiedzieć.

Odrywam się od fotela i spostrzegam Benjamin. Od razu wiem, że Zbyszek musiał go zdradzać z jakąś kobietą.

— A jak inaczej? — pyta trzeźwo i smutno Benjamin, kiedy w kuchni wyciskamy pomarańcze dla Zbyszka. Już mu wybaczył, nie ma nic przeciwko dziecku i chciałby jak najszybciej całe wydarzenie wciągnąć w zwykły bieg codzienności. Patrzę na jego twarz, widzę wyraźną linię gęstych brwi, ciemną oprawę szarozielonych oczu — i spotykam spojrzenie przyjazne, ale nie do końca otwarte, i niewesołe.

— Wiesz — mówię tonem pocieszenia — Żyd, gej, emigrant... Jeszcze nie wiedział, co z tym wszystkim zrobić, a tu w dodatku ta ciąża.

— Przede wszystkim — odpowiada Benjamin, uważnie przelewając sok do szklanki — on jest bez miary kapryśny...

1979

Siostra Hitlera

(ALBO MATKA NATURA)

Siedzę przy stole naprzeciwko mojego brata, Adolfa Hitlera. Pokój jest mroczny, ciasny, zastawiony ciężką szafą, dużym stołem, krzesłami i fotelem.

Aż duszno między nami od wrogości. Śledzimy się czujnie i z napięciem, choć staramy się niczym nie zdradzać. Udajemy neutralność.

Za jego plecami wisi pluszowa portiera zasłaniająca drzwi. Okna nie ma. Na stół pada światło z wiszącej lampy. Widzę jego ręce na blacie — zawsze te za długie rękawy do marynarki. Staram się trzymać w półmroku, odchylam się na oparcie krzesła, którego miękkie siedzenie zapada mi się pod tyłkiem —

— grzęzawisko — milczenie — nienawiść —

Coraz bliżej podpływa poczucie, że wiem, że rozumiem to, co nazywają magnetyczną tajemnicą jego siły i władzy. To nie jest żadna tajemnica, choć tak piszą w gazetach — jeszcze mam te nagłówki przed oczami — nie, to jest proste, tylko zapomniane, bo są radia, samochody, kłozety, ale to jest to samo co w ruchach szczęki małpoluda, który rozgryza kość drugiego małpoluda, to samo, tylko przebrane, umundurowane. *Dzisiejsze* — a dzisiejsze znaczy, że znowu jesteśmy czyjaś mroczną przeszłością —

Tylko trzeba to jakoś przeciwko niemu obrócić, podsunąć to jego własnym siłom i będzie po nim —

Tylko jak, jak się to nazywa i jak to brzmi, czy będzie to można wypowiedzieć krótko, jednym słowem, tak jak on wypowiada te swoje jedyne słowa, krótko!

Błąd, błąd z mojej strony, że myślę o tym w jego obecności. Jest wyczulony na zagrożenia, wylapuje je z powietrza. Wstaje, podchodzi do żelaznej kuchenki, która stoi pod ścianą obok szafy i nalewa do mojego talerza gorącej, gęstej zupy. Stawia przede mną talerz, a ja słabnę ze zgrozy. Wiem, że wsypał do środka trucizny, tego czerwonego proszku.

Nie mogę nie zjeść — jestem w kręgu jego władzy. Więc jem — bardzo powoli, karmię sama siebie jak niańka karmi zagapione dziecko. Wiem, że mam w sobie coraz więcej trucizny, ale nie czuję jej działania, czuję tylko tę zupę. Kiedy reszta krzepnie na talerzu, oboje uznajemy, że mam już prawo zostawić. Tak było zawsze: nie je się skrzepniętej, zimnej zupy — to szkodzi.

Przesiadam się na głęboki skórzany fotel poza kręgiem światła. Czekałam na działanie trucizny i chociaż nie mam poczucia nieuchronności, to liczę się z tym, że mogę umrzeć. Żal mi, że już nic nie zrobię, że go nie powstrzymam.

Portiera się rozchyła — to wróciła do domu nasza matka. Bez pośpiechu, ruchami, w których jest głęboki wewnętrzny spokój, kładzie na stole siatkę z zakupami, wyjmując chleb, margarynę i powidlą. Niewysoka, tłustawa, z dobroduszną twarzą, siwymi włosami i głęboko osadzonymi niedużymi oczami. Ogarnia wzrokiem pokój. Niczego nie wyróżnia, wszystko jest dla niej jednakowo ważne. Jest w tym chroniąca oczywistość i powszedniość, od których robi się jeszcze smutniej. Ale to daleka melancholia, echo przynębiającej nieodszywaności, zwykłości życia, blade wobec nadziei, jaka we mnie wstąpiła w jej obecności. Zdaje mi się, że ona ma dla niego dużo sympatii — ale w ostatecznym rozrachunku nie będzie go faworyzować. Spozstrzega na stole talerz z resztką zupy, widzi, że siedzę w półmroku i zwraca się do niego z rzeczowym zarzutem:

— Dlaczego jej dałeś tej zupy? Przecież wiesz, że ona tego *nie lubi*.

Nie lubi — to o mnie! To dotyczy mnie indywidualnie; te słowa działają jak odtrutka. Trucizna straciła moc. Nie umrę.

On robi jakiś ruch brwiami, ale nie pozwoli sobie — nie wobec niej.

Jestem jej wdzięczna. Do tej najgłębszej wdzięczności jest jednak przyrośnięty smutek i dystans —

Nigdy nie była mi bliska. Nigdy.

1972

Bibliotekarka

Jestem w wypożyczalni książek w małym miasteczku. Tłusta bibliotekarka podnosi oko i ogląda mnie spojrzeniem, które w ogóle nie wychodzi na zewnątrz. Chroni dorobek. Jej policzki, okulary: co znowu! — ta jakaś tam? Nawet nie jest stąd.

Podaje mi, choć jeszcze o nic nie prosiłam, księgę oprawioną w płótno. Z obojętnym błogosławieństwem patrzy na mnie, kiedy ją otwieram: w środku, równo przycięty do okładek, leży kawał słoniny.

1983

Studnia czasu

Powierzono mi małą dziewczynkę; podobnie jak ja ma kręcone włosy i w jakiś podobny do mnie sposób jest ruchliwa. Bardzo szybko biega po podwórku, co mnie trochę niepokoi, bo powinnam ją mieć na oku. Dziewczynka biegnie, mija piaskownicę — i nagle gdzieś ginie.

Jakby się zapadła pod ziemię.

Rozglądam się wkoło: nie, nie widzę jej nigdzie. Idę w stronę tego miejsca, gdzie znikła.

To betonowy walec wpuszczony w ziemię jak krótka studnia. W niej — schody. I nic więcej. W ścianach nic nie ma. Na dole nic nie ma. Schodzę powoli schodami, nasłuchując uważnie: pusto, beton schodów, beton ścian. Półmrok. Jakiś poruszający się cień. To mój.

Szare ściany, gładkie; nic tu nie ma. Nic nie ma, ale jestem napięta, boję się. Gdzieś pomiędzy wyobraźnią a żołądkiem przelatuje z nagle dziwny kształt: jakies skrzydła, ogon, płomień. Smok? Ale to jakies banalne miejsce, pozostałość po robotach ziemnych.

Staję na ostatnim schodku — i nie mam odwagi postawić nogi na ziemi.

Zawracam na górę. Nie jestem z siebie zadowolona.

Wychodzę na podwórko: jak jasno! Po przeciwnej stronie ulicy widać miejski park, strefy słońca i lekko poruszające się od wiatru obszary zielonego cienia. Żółto kwitnące krzaki. Przyglądam się uważnie, czy nie widać gdzieś dziewczynki. Nie, nie widzę. I coś mi mówi, że jej tam nie ma. Coś mi mówi, że nigdzie jej nie ma.

Przed domem na ławce siedzi młody konserwatysta, blondyn w szarym garniturze z dobrze dobranym krawatem, o raczej milej twarzy, na której ma dziwną łagodność bez cienia wyrozumiałości. Potępia mnie za to, że nie dopilnowałam dziewczynki. Słyszę jak mówi do kogoś o mnie, że nie jestem dociekliwa:

— Myśli, że wystarczy szukać byle jak, tak tylko, po wierzchu.

Dławię się z obrazą, jestem oburzona — ale pod tym tłucze się niepokój; nie o to chodzi, żeby czuła się winna. Rzecz w tym, że coś jest — otchłanne czy płytkie, niezwykłe czy banalne, ale jest. Niekoniecznie chodzi o smoka jako o smoka. Ale nie jest tak, żeby go w ogóle nie było.

1998

Hermafrodyty

Jestem na przyjęciu w białym pałacu położonym nad morzem, pełno tu gości, atmosfera swobodna, wiele atrakcyjnych osób, dużo wina, a na tacach śliczne małe kanapki. W pewnej chwili spotykam wzrok mężczyzny o ciemnych włosach — w jego spojrzeniu płonie ogień przyjemnie niejednoznaczny, ni to zaczepka, ni pytanie, wydaje się, że gdybym z nim poszła, gdybyśmy weszli tam, do jednego z tych pokoi na górze, skąd widać wyspy na promiennym morzu i pływające między nimi statki, to —

— to coś by się stało —

Stoję na podeście szerokich białych schodów z marmuru, a ten zaczepny płomyk wisi nade mną; kiedy ruszam w jego stronę, z góry zbiegają akurat dwie kobiety: młodsza i starsza.

Wydaje się, że jest ich nie dwie, ale dwadzieścia, ta młodsza zbiega jakoś brykając, śmieją się do mnie, mają przejrzystość rozświetlonej, falującej wody i ciepło światła. Kiedy mnie mijają, starsza odwraca się i woła:

— Chodź z nami!

Ach, oczywiście, pójdę z wami! Już zawracam za nimi na dół, tak się spieszę, że się potykam — w połowie drogi robi mi się jednak żal tamtej zaczepki, tamtego przytłumionego płomienia. Nie dowiem się, jeśli pobiegnę za jasnym światłem. Staję w połowie schodów i po namyśle zawracam. Tak się spieszę, że gubię sandał, który zjeżdża na sam dół. Nie szkodzi, biegnę wyżej, ale razem ze mną biegnie obraz twarzy tej starszej kobiety, pełnej wezwań —

Zawracam i znowu biegnę schodami w dół, a kiedy już jestem na samym dole, robi mi się tak strasznie żal tego mężczyzny —

— że aż siadam na schodach —

Wychodzę na dolny taras. Otwarty widok na morze, lekki wiatr. Lazur, wszędzie lazur i blask. W rogu tarasu, przy stole pod parasolem siedzi i rozmawia jakieś towarzystwo. Docierają do mnie ich głosy, nie umiem rozpoznać: kobiece czy męskie, raczej ni takie, ni takie — bogate, dziwne. Zbliżam się i widzę, że jedną z tych osób jest Emil, mój ukochany. O, to zaskoczenie. Nie sądziłam, że i on tu jest.

Jedna z tych osób ma żywe ciemne oczy, loki koloru mosiądzu opadają na plecy, pije białe wino i uśmiecha się w odpowiedzi na czyjeś słowa; obok blondynka czy też blondyn o przejrzystym, słuchającym spojrzeniu, w cylindrze i aksamitnej kamizelce koloru wina —

— w tych ciałach jest jakaś podróż, nie wiem: odrzutowcem czy na wielbłądzie po pustyniach, wisi nad nimi muzyka, ale jeszcze nie słyszę melodii, wiem tylko, że ma szybki, chwilami zamierający rytm, a za nim pojawia się niespodziewanie zaczynający się znikąd, nie kończący się nigdzie, szalejący śpiew strun; boję się go, ale chciałabym go już usłyszeć —

Ciemne żywe oczy patrzą na mnie jakby chciały mi zadać zagadkę i jakbym ja stanowiła odpowiedź.

Te osoby mają w sobie coś takiego jak ta lazurowa powierzchnia podróży, wiem, że są poruszone, poruszające, niewyobrażalnie głębokie. Zaraz do tarasu zawinie statek i wszyscy oni popłyną na jedną z wysp na morzu.

— Czy mogłabym pojechać z wami? — pytam Emila, któremu strasznie zazdroszczę towarzystwa i tego, co się stanie —

wrzesień 1996

Wiek Oświecenia

Bernard, trzydziestokilkuletni mężczyzna, prowadzi wyprawę, która jest na tropie najbardziej pierwotnych ludzi, jacy żyją na ziemi. Uczestnicy wyprawy są przeważnie Holen-

drami, niedawno przyплыnęli do Ameryki, do Nowego Świata. Jest druga połowa XVIII wieku, wiek Oświecenia.

Kiedyś Bernard widział biegnącego półdzikiego psa tamtych ludzi; ciągnął się za nim smrodliwy, odwieczny zaduch krwi i popiołu. Widziano też ślady konia z rozszczępionym kopytem. Wspomnienie tamtego odoru przypomina Bernardowi o bitwie, w której brał kiedyś udział. Padł wtedy jego koń: duże, ciepłe zwierzę. Bernarda drażni dzikość tamtej bitwy: sam, szablą i z muszkietu, zabił wtedy tylu ludzi — i łączy mu się to jakoś z tymi ludźmi, do których chciałby dotrzeć. Żyją gdzieś w dole, w jaskiniach. Po ich śladach wyprawa schodzi w dół.

Na wzgórzu stoi dom. Z okna matka Bernarda widzi dolinę i drogę do jaskiń. Myśli, że jest stara, źle się czuje i chciałaby się nie bać. Czy mogłaby umrzeć bez lęku, jaki w niej to *wszystko* wywołuje? Nie wie. Ale czuje, że lęk jest obok, że mu nie podoła.

Ludzie Bernarda, którzy szli z przodu, między skałami pojмали psa tamtych ludzi. To ten sam, którego kiedyś widziano. Młody chłopak z jasnymi gęstymi włosami, w skórzanym kaftanie, trzyma go na powrozie. Pies jest nieduży, koślawy. Tak, wisi nad nim ten smrodliwy, odwieczny zaduch juchy i spalenizny. Pies patrzy na nich.

Ale nie jest zdrajcą. Milczy.

maj 1993

Show poezji koreańskiej

(Zасыpiam na podłodze, na dywanie, przede mną stoi mały przenośny telewizor. Przez półsen dociera do mnie zapowiedź: zaraz będzie show poezji koreańskiej. Chcę to zobaczyć, otwieram oczy).

Partyzanci schodzą z gór. Prowadzi ich, skacząc po kamykach, młoda kobieta z długimi, zupełnie białymi włosami.

W mieście marszałek robi przegląd swoich wojsk: ma twardą szczękę i lisio-boczne spojrzenie. Widziany z góry, jest jedyną poruszającą się postacią pomiędzy nieruchomymi szeregami.

Przestronne, pustawe miasto — to stolica. Niedaleko rezydencji marszałka urządzono ogromny targ.

To z okazji zawieszenia broni pomiędzy siłami marszałka a partyzantami białowłosej księżniczki, która już jako dziecko została uznana za symbol oporu i sprawiedliwości. Jest święto, dzień wytchnienia. Od wszystkiego.

Na placu stoją setki budek i kramów. Przyjechali ludzie ze wszystkich stron kraju, można dostać owoce i jarzyny z południa i z zajętej przez partyzantów północy. Można kupić ryby, ubrania, tkaniny. Z kociołków na kółkach sprzedawcy nalewają do miseczek ostrej, gorącej zupy z wodorostami.

Szczupły student, który kupił tłustego karpia, mówi poprawiając na nosie okulary:

Jakiś lżejszy jest dziś uchwyt życia
— zupa rybna na kolację — owszem
ale potem
oko ugotowane
kiedy po niebie płynie księżyc...

Wymienia karpia na dynię i woreczek fasoli i znika między ludźmi.

Koło masarza staje starszy mężczyzna. Ma twardą szczękę, lisio-boczne spojrzenie i prosi:

Daj mi kawałek kielbasy. Jestem emerytem
i nie stać mnie na taki wydatek. O, tłuszcz,
tkanka — to wspomaga podniesienie ducha.

Masarz daje mu pęto kielbasy i emeryt odgryzając po kawałku odjeżdża, gwizdząc jak lokomotywa.

Między straganami z koszami, matami i wyplatany miablami przemyka młoda dziewczyna o zupełnie białych włosach i czarnych brwiach, ukośnych jak piorun. Dostrzegła wreszcie niebieską kurę, której wszędzie szukała. Wyciąga pieniądze z kieszeni szarych, luźnych spodni i bez pytania daje sprzedawczyni, która patrzy na nią ze zrozumieniem i mówi:

To przestwór nie-udomowiony.

Księżniczka przysiadła na wolnym skrawku trawy obok i wkłada kurze do gardła czarną oliwkę. Przygląda się temu dziewczynka, która, podobnie jak księżniczka, nosi szare wypchane spodnie, a do nich bluzeczkę w niebieskie groszki.

Księżniczka wyjaśnia jej:

Opuszczam
swoją i waszą udrekę
i dwudopływową Biblię, królową rzek polskich.
Niech i dla mnie
otworzy swoje bramy Immigration OJJice!
Dorośłam już i chcę jeszcze
pożyć i umrzeć
osobiście.

Kura rośnie i rośnie. Jest już wyższa niż człowiek, wystaje ponad budki. Księżniczka jej dosiada, a kura podskakuje i rozkłada wielkie błękitne skrzydła. Nikt nie zwraca na to uwagi, nikt niczego nie dostrzega oprócz marszałka-lokomotywy-emeryta, który nadjeżdża krzycząc:

A ja, twój stary ojciec? Czy się odważysz
opuścić mnie w biedzie i w starości?

Księżniczka na to nic.

Marszałek usiłuje złapać kurę za skrzydło i krzyczy dalej:

Czy nie żal ci twoich partyzantów
czy ten kraj już cię nie chwyta za serce?

Księżniczka odpowiada, pochylając się z wysokiego grzbietu kury:

Mam serce zdarte od wrzasku.

Kura odbija się od ziemi i startuje. Z początku leci jak przeciążony balon, opadając gwałtownie i tracąc równowagę, ale potem unosi się coraz wyżej i swobodniej.

Zaczyna się ściemniać. Wczesne popołudnie przemienia się gwałtownie w burzowy wieczór. Zrywa się wiatr, ludzie zwijają kramy, pakują towar. Błyska, a nad placem zawisają granatowe chmury.

Na tarasie swojej rezydencji stoi marszałek-lokomotywa-emeryt i patrzy w niebo, czekając kiedy pioruny i gwałtowny deszcz zawrócą z drogi księżniczkę. Ale kury nie widać. Już nie wróci. To przestwór nie-udomowiony.

Marszałek-lokomotywa-emeryt oparty o balustradę tarasu rzuca za księżniczką przekleństwo w stronę głębokiego i błyskającego nieba:

Lawo płynna! Obyś
nigdzie
nie mogła ostygnąć ni skrzepnąć!

Mdlejący afrykański dyplomata

Stoję na przystanku PKS-u, po drugiej stronie drogi ciągną się pola: płaska ziemia, gołe drzewa, nisko zawieszone ciemnoszare chmury. I tak samo aż po horyzont. Przyjeżdża autobus. Drzwi się otwierają i ze środka wysiada afrykański dyplomata. Bardzo czarny — z samego serca kontynentu. Ma na sobie jasny garnitur, w ręce trzyma skórzaną płaską dyplomatkę.

Rozgląda się. Podnosi głowę i patrzy w niebo. Szarzeję, opiera się o słup z rozkładem jazdy i osuwa się na ziemię.

Rzucam się, żeby mu pomóc, cucę go, rozluźniam krawat, pod głowę — ziemia jest wilgotna — podkładam dyplomatkę. Wreszcie otwiera oczy. Pomagam mu wstać. Stoi — między tą płaską ziemią a ciężkim niebem.

Znowu robi się szary, znowu mi zemdleje — będzie mdlał sto i więcej razy; on się nie przystosuje! Trzeba się stąd wydostać, oto jedyne wyjście.

styczeń 1985

Hunowie

Idziemy, ja i moja przyjaciółka E., brzegiem stromego wąwozu. Kątem oka dostrzegam — a może wydawało mi się, że dostrzegam — jak wzgórze przed nami się poruszyło. Przypatruję mu się uważnie — stoi nieruchomo.

Wąwóz, nad którym idziemy, ma ściany z białego wapienia, dno jest nierówne, kamieniste, porośnięte niskimi, mocnymi krzewami. Wydaje mi się, że dostrzegam jakiś szybki ruch między ścianami wąwozu, jakieś pulsowanie, jakby zawisł tam niewidoczny rój pszczół —

— jakby dostała się tam jakaś energia, która coraz gwałtowniej szuka dla siebie ujęcia — dobiegają do nas nagle uderzenia bębna, nie wiadomo skąd —

W następnej chwili w wąwóz wlewa się potok ludzi i koni.

Widzę ich ubrania ze skóry i futer, ich ciężką żelazną broń. Jadą na koniach o grubej, skręconej sierści, niektórzy prowadzą też luzem zapasowe konie —

— cała ta niespodziewana, ale niegwałtowna fala płynie pod górę w nierównym, rozchwilnym rytmie, bez pośpiechu, jednak dość szybko —

— i niby składa się z osobnych istot, osobnych koni, osobnych ludzi — ale nie dzieli się na nie. Są już prawie w połowie drogi pod górę, stłoczeni pomiędzy ścianami wąwozu, ale w dole, u wejścia do jaru, ciągle pojawiają się nowi.

To są Hunowie. Hunowie!

Chwytam się z E. za ręce, patrzymy na siebie i widzę, że ze strachu włoski w jej brwiach stanęły na sztorc. Z wąwozu można się dostać tylko na zbocze, ze zbocza na szczyt wzgórza. Rzucamy się przed siebie, na oślep —

— najpierw w dolinę, siła rozpędu wnosi nas kawałek na wzgórze. Rwiemy z dziką siłą, podpieramy się rękami, podciągamy za krzewy i trawy. Wydało mi się, że słońce na horyzoncie pękło i została po nim krwawa piana —

— krwawa piana. Jeśli nas dogonią, to przejdą po nas jak po ziemi. Nic więcej. Przejdą *jak po ziemi* i zetrą nawet fakt, że istniałyśmy.

W jakiejś chwili widzę wszystko z góry: dwie postacie rwące w stronę szczytu wzgórza, poniżej płowo-bura fala Hunów, za wszystkimi, w dole, pusty biały wąwóz, za wąwozem las. Pojmuję, że odległość między nami a Hunami jest stała, ciągle taka sama od naszego pierwszego ruchu. Nie ma znaczenia, jak szybko uciekamy. Trzeba się *oderwać*.

Zataczając się ze zmęczenia, przedzieramy się przez prawie goły las. W lecie obozowali tu Cyganie, ale przed zimą wyjechali. Od drzew i ziemi ciągnie jakaś nostalgia. Byli tu jeszcze tak niedawno, nie byłobyśmy same, pomogliby nam —

Na szczycie wzgórza stoi baszta. Przyspieszamy, drzwi są otwarte. Prawie na czworakach włączymy po stromych kręconych schodach na górę — i wypadamy na taras na dachu, wyłożony białymi kafłami kuchennymi, otoczony balustradą.

Siadamy na podłodze, potem kładziemy się. Ocalone. Ocalone — ale ta błogość jest jakaś mętna, niejednoznaczna, ulga — płytka. Coś jest nie tak. To nie jest prawdziwe ocalenie. Przed oczami staje mi obraz wejścia do baszty. Nie zamknęliśmy drzwi.

Przepadło. Wszystko jedno — i tak żadna z nas nie zejdzie na dół. Nie w ich stronę.

Podchodzę do balustrady. Na dole jak okiem sięgnąć leżą szarozielone, przymglone równiny, nad nimi lekkie wysokie niebo z białymi chmurami, widzę pola, domy, siatka dróg biegnie w głąb tego świata, żyjącego własnym bezpiecznym życiem. Dostęp do niego jest otwarty, nic go nie broni —

Ja się tam dostanę. Muszę. Obie z E. siadamy na balustradzie, żeby zeskoczyć w dół. Chwytny się za ręce, robimy wdech jak przed nurkowaniem, szarpiemy do przodu —

— przez chwilę spadamy — potem powietrze wybija nas z powrotem! Odbijamy się od niego jak gumowe piłki — i znów siedzimy na balustradzie.

— To jest cygańska próżnia — mówi E. głosem, który nie ma żadnej z cech jej głosu, który wydobywa się ze zwojów oczywistości, z samego ich środka. Potem otwiera oczy i mówi już swoim głosem: — Przeszli tędy i zamknęło się po nich. Nie zassie nas. Trzeba mieć rozessywacz.

Na wzgórzu wjeżdżają pierwsi Hunowie. Ten, który jechał na czele, zatrzymuje konia koło otwartych drzwi baszty, zeskakuje na ziemię i wchodzi do środka. Inni, którzy podjeżdżają, wchodzi za nim. Widzę przez mury, jakby były przezroczyste, jak wchodzi po kręconych schodach na górę.

— Mam — mówię w olśniewającym blasku poczucia własnego geniuszu. — Mam to.

Tym razem skaczemy raczej przed siebie niż w dół, od razu zaczynając od słowa JESZCZE. JESZCZE znosi nas kawałek w dół, udało się. Od razu śpiewamy resztę:

POLSKA

NIE ZGINEŁA

PÓKI MY ŻYJEMY

CO NAM OBCA

Działa jak wolno rozpinający się spadochron.

Opadamy kawałek w dół, każde słowo rozpruwa kolejny kawałek próżni, przestrzeń się otwiera, spadamy —

Lecimy nad światem jednocześnie zajętych sobą i otwartym, nad szarozielonymi polami, czasami w dole widzimy ludzi zajętych swoimi sprawami, nikt nie zwraca na nas uwagi, ale wiadomo, że w każdej chwili możemy lądować i że jest tam dla nas miejsce — ale ponieważ jest i ponieważ możemy, to lecimy dalej i dalej i dalej —

— a wszystko jest dostępne, ciągle —

1970

Pisarz sag

Mój bliski znajomy jest pisarzem sag, czytam właśnie jego prozę; w prosty i zwykły sposób opisuje odwieczne koleje życia. Nudzi mnie to.

— Czy nie byłoby ciekawiej — pytam go — gdybyś napisał coś o szybkiej, niezwyklej akcji? Coś wciągającego, może być zwykły kryminał.

— *Może być* — odpowiada cierpko.

W dyskotecie, w jakiejś niewielkiej miejscowości pod Sztokholmem, jest sporo ludzi. Bar obsługuje para: biały chłopak i czarna dziewczyna. Na parkiecie mnóstwo dzieciaków.

Na galeryjce, nad czymś w rodzaju portyku, w półmroku dostrzegam pisarza sag. Siedział tam przez jakiś czas, potem zniknął. Zaraz po jego zniknięciu — eksplozja! Czarna dziewczyna z baru i jeszcze kilka osób jest rannych, chłopak leży, chyba zabity.

Ale nikt nie krzyczy, nikt nie wzywa pomocy, nie pyta o sprawcę. Patrzą na to wszystko jak na widowisko, które ich nie dotyczy.

Tylko ja jedna jestem wstrząśnięta, zdumiona: Jak on mógł? Jak?

Pisarza sag otacza cicha sława. Przyłączyło się do niego kilkoro młodych ludzi, także ten chłopak z baru, a on traktuje swoją świętą życzliwie, ale z dystansem.

Kiedyś w wiadomościach telewizyjnych mignął obraz: pokazano, jak wczesnym rankiem z jednego z tutejszych domów wyniesiono zwłoki młodej kobiety, Turczynki.

Morderstwa wsiąkają w ten krajobraz bez śladu.

Dla pisarza sag zabijanie jest jak objawienie, na które od dawna był przygotowany. Zachowuje trzeźwość — jest syty, bez oszołomienia.

Kiedyś spotykamy się na ulicy biegnącej między żywopłotami, które otaczają tutejsze domki. Za nim idzie kilku młodych ludzi z jego asysty. Jakaś postać teatralna tkwiąca we mnie ustawia mnie tak, *jakbym* miała oczy wzniesione ku niebu i załamane ręce:

— Ależ nie, Waldemarze — mówi postać przez moje usta. — Punkt oparcia musisz mieć w sobie!

— A nie mam?

Jest zaczepny i serio. Dawne więzy niezupełnie zostały zerwane, jednak nie powinnam wchodzić mu w drogę. Jeśli będę — zabije mnie.

Jadę do Turcji, jest tam narzeczona pisarza, a moja przyjaciółka, E. Może zechce mi pomóc.

Podróżuje się tam kolejką nowojorskiego metra, wagoniki mają spore okna. Kolej pędzi zawrotnie wysokim nasypem: w dole leży rdzawa turecka równina — zatkana jakąś nostalgiczną niemotą. Bezkresne miedziano-zielonkawe rżyska; zaprzeszy krajobraz.

— Wszędzie tu są drogi, którymi szły hordy dawnych ludzi — mówi siedzący naprzeciwko mnie Murzyn (chwilami wygląda jak biały, kolor jego skóry zależy od oświetlenia) — prawie ich nie widać, ale jeśli człowiek o pewnym tropizmie wejdzie na taką drogę, to nieświadomie pójdzie tak, jak ona prowadzi.

Patrzę na dół i wydaje mi się, że rzeczywiście w miedzianym kolorycie widać jaśniejsze linie, niepewne i zanikające — ale niektóre zupełnie wyraźne.

Ogarnia mnie jakiś chłodny lęk.

W zachowanej części prastarej bazyliki znajduje się elegancja restauracja. E. już na mnie czeka. Opowiadam jej całą historię, a ona słucha mnie tak, jakby sam fakt opowiadania był podejrzany.

Rezygnuję. Ona nie stanie po mojej stronie.

Ta część bazyliki nie ma dachu: widzę szybkie chmury, raz błyska słońce, raz ciemnieje; zmienna, rozpraszająca pogoda, nie znoszę takiej.

Wracam. W korytarzu wagonu spotykam wysokiego Murzyna. Nie jestem pewna, czy to ten, z którym jechałam poprzednio (momentami wygląda tak, jakby był w czarno-białą kratkę — to zależy od oświetlenia). Stoimy naprzeciwko siebie, zaglądam mu w twarz. Przymyka potwierdzająco oczy, a potem unosi klapę marynarki: ma pod nią znaczek Interpolu.

Policja! Co za ulga! Nareszcie jakiś punkt oparcia. Mam za sobą międzynarodową policję.

Nareszcie przywróci się porządek.

wrzesień 1976

Kolejka do Jehowy

Stoję w dość długim ogonku — to kolejka do Jehowy; stojący przede mną przesuwa ją się bez pośpiechu. Jestem na końcu i czuję się jakoś niezupełnie zobowiązana, raczej swobodna, jakbym się tutaj znalazła ni to z własnej chęci, ni to przez przypadek. Stojąc tak sobie zauważam, że trzymam w ręce bułkę z szynką. Oj, niedobrze. Jehowa może się poczuć urażony tą wieprzowiną. Ale szkoda mi tak od razu wyrzucić całą bułkę z szynką.

Spomiędzy połówek bułki wyciągam zębami plaster szynki, zjadam, zagryzam kęsem pieczywa, resztę wyrzucam.

Ten gest oznacza (kompromisowe) przymierze i mam nadzieję, że został odnotowany.

marzec 1992

Anarchistka i policjant

Wychodzę jakby spod ziemi, z ciemnego wjazdu, prostuję się — i staję na środku jezdni, na ruchliwej ulicy miasta Meksyk, w jasny dzień, w pełnym słońcu.

Wiem, że brałam udział w zamachu organizacji anarchistycznej na ministra Identification Publica². Ale nie jest jasne, co właściwie zrobiłam.

Tak czy inaczej, muszę natychmiast zejść z widoku, pokazywanie się na ulicy nie jest bezpieczne.

Widzę, że wylądowałam w eleganckiej dzielnicy: jezdnia szeroka, naprzeciw rząd sklepów z bogatymi witrynami, na chodniku rosną palmy, a przed jedną z wystaw stoi kobieta w długiej beżowo-różowej sukni, osłaniając się parasolką przeciwsłoneczną.

Sama ze zdziwieniem dostrzegam, że także mam na sobie długą suknię z muślinu: żółty z różem — dziwne, żółty to nie mój kolor. Rozkładam ją w rękach — i natychmiast składam. Jest poplamiona lepkiem, tłustym smarem, który bezsprzecznie kojarzy mi się z bronią. Na dole odpruta falbanka. Daję krok do tyłu, bo właśnie nadjeżdża omnibus, a potem chcę przejść na drugą stronę ulicy i wejść w cieniłą bramę pomiędzy sklepami. Nie zdążę. W moją stronę już idzie policjant.

Robi mi się słabo ze strachu, ale nie mam szansy na ucieczkę. Policjant jest wysoki, szczupły, w granatowej kurtce z czerwonymi wyłogami. Podchodzi do mnie i pyta cicho:

— ¿Seniora, esta usted de Suecia?³

— ¿No, por que? — odpowiadam powoli, bo nie wiem, czy ta Szwecja nie jest jakąś pułapką. — *Estoy de Mexico*⁴.

Pochyla się do mnie i wtedy widzę, że ma delikatne rysy, ciemne oczy, śniadą, zmęczoną twarz. Przy stojce kurtki brak guzika i pagon na ramieniu naderwany. Patrzy na mnie uważnie i mówi jak ktoś, kto mógłby być moim sojusznikiem:

— Wie pani, nieeleganccy ludzie w tej dzielnicy są podejrzani.

Odpowiadam badająco:

— Pan też nie jest zbyt elegancki.

Robi brwiami ruch „no cóż”. Zaczyna się wokół nas tworzyć izolujący, dyskretny krąg.

Podaje mi ramię i idziemy: zaofiarował mi się jako ochrona, kryje mnie, to znaczy, myślę, że wie, że ma powód, żeby mnie kryć, ale do jakiego stopnia wie, skoro ja sama nie bardzo wiem?

Patrzę na niego i wchłaniając jego obiecującą nowość zapominam o tej myśli. Jego spojrzenie, ten uprzywatniony przez niego mundur, jego ciało pod mundurem — dosięgają mnie coraz mocniej: przez ramię czuje go od stóp do głów, a zwłaszcza tę strefę ciała...

Siedzimy na tarasie kawiarni i pijemy lemoniadę z lodem: widzę, że w środku niektórych kostek lodu są jakby ślady krwi.

²Identification Publica — Tożsamości Publicznej. [przypis autorski]

³¿Seniora, esta usted de Suecia? (hiszp.) — Czy pani jest ze Szwecji? [przypis autorski]

⁴¿No, por que? Estoy de Mexico (hiszp.) — Nie, dlaczego? Jestem z Meksyku. [przypis autorski]

On popija i patrzy na mnie z coraz bardziej stężonym oczekiwaniem — trochę się zaczynam obawiać tego, czego oczekuje. Ale i pragnę go coraz bardziej.

Jesteśmy w jego sypialni w wielkim, bogatym domu, który jest rezydencją rodzinną. Z okna widzę przeciwległe skrzydło domu: na słonecznym tarasie siedzi gruba Murzynka w białej płóciennej sukni. Wygląda jakby drzemała, ale podobno nie śpi, podobno zawsze czuwa i wie, co się dzieje w domu.

Leżymy na podłodze.

— Wydobądź mnie — mówi nie otwierając oczu; wciąga mnie i piecze jego pragnienie, żeby nareszcie wylała się czyjaś namiętność, żeby go zatopiło, potem wyniosło i żeby nie miał żadnej możliwości opierać się tej sile; żeby przywrzeć do niego płcią, przygodą, przemianą; żeby mógł to wszystko wchłaniać i przeistaczać się —

Zsuwam z ramion tę żółtą suknię, pochylam się nad nim, a on nie otwiera oczu, czeka. Na co, na kogo? —

Nasze wspólne gorące ciało stygnie i rozdziela się na dwa: nie, nie mam już na niego nadziei. Zaprojektował dla mnie żywioł, jakiego potrzebował — ale skąd mam wiedzieć, co on ma wspólnego ze mną?

Czuję się wypchnięta gdzieś, osamotniona, pominięta —

W nocy idę plażą w stronę portu. Słyszę szum morza, które jest teraz jak ciemna otchłań. Ale to droga, to połączenie. Czekam na statek, który popłynie na północ, do Szwecji —

7 grudnia 1985

Na skrzydłach wiatru

Idę w stronę morza. Przede mną wydmy, za wydмами — plaża. Kiedy wieje wiatr — dmie ukosem — rozpędzam się i wskakuję na podmuch, który jest lekki, twardy i dość wąski. Kładę się na nim plecami, żeby nie spaść, a kiedy cichnie, zsuwam się na ziemię. Potem czekam na kolejny podmuch, a kiedy go czuję na poziomie ud i bioder — znowu na niego wskakuję.

I tak wiele, wiele razy, aż podmuchy donoszą mnie na samą plażę i zsuwam się prosto na piasek.

Naprzeciw mnie sunie, toczy się, biegnie morze; z przodu coraz to nowe szeregi fal z białą pianą, woda dopada brzegu w długich chlustach — i zawraca do Szwecji —

1987

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest udostępniony na licencji *Licencja Wolnej Sztuki 1.3*.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/keff-sen-o-znaczeniu-snow-cykl>

Tekst opracowany na podstawie: Bożena Keff, *Nie jest gotowy*, OPEN Wydawnictwo Naukowe i Literackie, Warszawa 2000.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów autora. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć, Jan Szejko, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).